

Elżbieta
Skolimowska



MARZENIA TRZEBA SPEŁNIAĆ!

Emerytka pieszo
przez Hiszpanię



Llanes

Unquera

Comillas

Santillana del Mar

Santander

Güemes

Castro Urdiales

Laredo

Portugalete

Bilbao

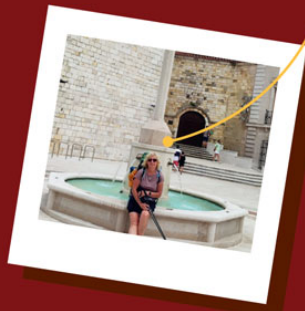
Lezama

Gernika

Zarautz

San Sebastián

Irún



Camino to moje tempo, moja wola i mój czas

Droga do Santiago de Compostela, w którą wyruszyła autorka kilka dni po przejściu na emeryturę, nie zaczęła się na szlaku, lecz w sercu. Samotna wyprawa z namiotem bez doświadczenia i znajomości języka prowadziła przez Camino del Norte i Primitivo. Choć już pierwszego dnia podróżniczka zgubiła drogę, innym razem zawisła nad urwiskiem, a ból poranionych stóp był jej dokuczliwym towarzyszem od początku pielgrzymki, wytrwale szła dalej – napędzana marzeniami, życzliwością ludzi i zachwytem nad światem. Jakie wspomnienia i refleksje towarzyszyły autorce podczas wędrówki Szlakiem Świętego Jakuba?

Dziennik **Marzenia trzeba spełniać!** to opowieść o pięknie samotnej wędrówki i pokonywaniu granic – pełna siły, odwagi i nadziei dla wszystkich, którzy chcą wyruszyć, ale jeszcze się wahają. Nie trzeba być do niej w pełni przygotowanym, wystarczy marzenia będące impulsem do rozpoczęcia podróży.

Elżbieta Skolimowska – ur. 1961, emerytowana położna, której życiową siłą od zawsze była bliskość przyrody, a wędrówki po górach i lasach inspirowały ją do tworzenia poezji. W chwili zakończenia pracy zawodowej wydała, w wersji amatorskiej, tomik *Z wiatrem i pod wiatr*, po czym wyruszyła na pierwszą, pieszą wędrówkę poza granice Polski. Przeżycia, piękno otoczenia i codzienny trud stały się przedmiotem tej książki.




Sorus[®]

PRZEJDŹ

do księgarni online:
www.sorus.pl

Elżbieta Skolimowska

Marzenia trzeba spełniać!

Emerytka pieszo przez Hiszpanię



Redaktorka prowadząca: Agata Sikorska-Olszowa
Redakcja: Magdalena Chrobok
Korekta: Hanna Jaskuła
Projekt okładki: Marcin Dolata
Skład i łamanie: Maciej Torz

Copyright © by Elżbieta Skolimowska 2025

Copyright © by Sorus® 2025

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości
bądź fragmentów niniejszego dzieła bez pisemnej zgody wydawcy jest zabronione.

ISBN 978-83-68095-80-7 książka

ISBN 978-83-68095-81-4 e-book

Wydanie I, Poznań 2025

Printed in Poland

Twoja opinia jest dla nas ważna! Zachęcamy do podzielenia się wrażeniami
po lekturze tej książki i dodania swojej oceny: www.sorus.pl/opinia

Masz pomysł na książkę lub gotowy tekst? Opublikuj swoje dzieło ze wsparciem
wydawnictwa i dołącz do grona naszych autorów: www.sorus.pl/dlaautorow

Wydawnictwo Sorus

DM Sorus sp. z o.o.

ul. Bóżnicza 15/6, 61-751 Poznań

tel. +48 61 653 01 43

e-mail: sorus@sorus.pl

Księgarnia internetowa: www.sorus.pl/sklep



www.sorus.pl



[dmsorus](https://www.facebook.com/dmsorus)



[wydawnictwosorus](https://www.instagram.com/wydawnictwosorus)

Pamięci moich rodziców

*Jeśli kiedykolwiek zrodzi się w Tobie jakieś marzenie,
idź za nim, dąż do niego, zrób wszystko, by się spełniło.
W przeciwnym razie nie jest to marzenie, tylko mrzonka.*

Autorka

Wstęp

Noc sylwestrowa to doskonały moment na planowanie całego roku. Często zdarza się jednak, że planujemy, a później życie i tak toczy się swoim torem. Odpuszczamy wiele marzeń, pragnień i obowiązków, bo trzeba się trochę wysilić, narzucić sobie reżim i zawałczyć o swoje własne szczęście.

Nadchodzący rok miał przynieść duże zmiany w moim życiu. Od kilku miesięcy przymierzałam się do przejścia na emeryturę. Ostatecznie wybór padł na lipiec.

– I co wtedy? – popatrzyłam na Alicję, jakby chcąc uzyskać odpowiedź.

– A nie chcesz pójść na *camino*? Do Santiago de Compostela?

– *Camino*...?

– No wiesz... muszelki, Droga św. Jakuba... – przybliżała mi temat Ala. – Szlak przechodzi koło naszego domu. Mi się marzy taka wędrówka – ciągnęła, podczas gdy w mojej głowie już kotłowało się od pomysłów i planów.

Od lat chodzę po górach i lasach. Z bliskimi, ze znajomymi... Najczęściej jednak sama. Po nocnych dyżurach to najlepszy odpoczynek i regeneracja sił. Podglądanie natury jest szalenie ekscytujące. Za każdym razem odkrywam coś nowego, coś innego. Kiedyś znalazłam grzyba rosnącego „do góry nogami” w szczelinie pomiędzy odkrytymi korzeniami sosny, nieopodal Wodospadu Szklarki. Takie niby nic, a pozostało w pamięci jako

symbol miłych wspomnień. Na szlakach, którymi kroczę piąty czy dziesiąty raz, zawsze panuje inna atmosfera. Na inne kamienie stawiam stopy... Inne ptaki opowiadają o innej burzy... Inne powietrze płące mi włosy... I tylko uczucie ulgi, wolności, jedności z naturą jest zawsze takie samo.

Dlaczego nie miałabym podeptać nowych ścieżek? Dlaczego nie poddać się spontaniczności i nowym doznaniom? Obcy kraj, język, inna kultura... Wszystko czekało na poznanie, czekał również czas do zagospodarowania tak, jak zechcę.

Czułam wypieki na policzkach. Myśli plątały się w natłoku lęgnących się marzeń o przygodzie życia. Rozmowa toczyła się już tylko o Szlaku św. Jakuba. Alą przekazywała mi swoją wcale nie małą wiedzę na ten temat. Internet okazał się jeszcze większą jej skarbnicą.

Ponad dwa tysiące czterysta kilometrów wędrówki przez cztery kraje. Dla emerytki wyzwanie iście szalone. Coraz bardziej mnie ono ekscytowało i rozbudzało coraz większy zapal.

– Pójdę! Pójdę z namiotem... Tak zacznę emeryturę – chyba sama jeszcze nie wierzyłam, że to możliwe.

Marzenie już się narodziło, a marzenia to moc ogromna. To motywacja do czynów, które czasem wydają się niewykonalne. Marzenia i dążenie do ich spełnienia otwierają serca, cieszą duszę i są niezniszczalne. Nie można się jedynie poddawać, gdy coś staje na przeszkodzie. Trzeba brnąć, brnąć dalej przed siebie i próbować w końcu dotrzeć do celu.

Od tego momentu zaczął się czas mojego przygotowania fizycznego i psychicznego.

Tak więc przeprosiłam się z moimi kijkami, które od lata stały zapomniane gdzieś w kącie na ganku. Pierwsze wymarsze

były dość krótkie, od około siedmiu do dziesięciu kilometrów. Z czasem wydłużałam dystans. Chodziłam bez obciążenia. W plecaku miałam jedynie wodę, jakiś baton, latarkę, zapalniczkę i nóż. W styczniu pogoda była różna. Staralam się chodzić niezależnie od aury, chyba że lało albo okropnie wiało. Wielką frajdę sprawiało mi chodzenie po śniegu. Wieczorem, kiedy padał srebrzysty puch skrzący się w świetle latarni lub księżyca, czułam się jak w bajce. Cieszyłam oczy i duszę pięknem, które mnie otaczało. Zapominałam o troskach, codziennych niedogodnościach. W mojej głowie piętrzyły się wyobrażenia przyszłej wędrówki.

To nie był wielki wysiłek. Jestem wędrowcem od wielu lat. Dotychczas jednak rzadko robiłam takie długie trasy dzień po dniu. Ponadto zaczęłam zwracać uwagę na tempo. Średnio w ciągu godziny pokonywałam pięć kilometrów.

Pierwszy wypad do mojego syna – pokonałam odcinek liczący ponad dwadzieścia dwa kilometry – napawał mnie dumą. Moja wiara we własne siły przybliżała wędrówkę do Hiszpanii. Marzenie umacniało się. Nie było mowy o rezygnacji.

Zaprzyjaźniłam się z internetem, w którym pozyskiwałam wiadomości o szlakach, czytałam wspomnienia i rady ludzi, którzy przemierzali *camino*, czasem wiele razy. Dowiadywałam się, jak wspaniała jest ta wędrówka. Jak piękne wspomnienia przywozili pielgrzymi o spotkanych ludziach, o cudownych miejscach. Czytałam też o warunkach mieszkaniowych w albergach (schroniskach dla pielgrzymów), o zwyczajach tam panujących. Zwracałam uwagę na porady, co koniecznie trzeba zabrać ze sobą, a co będzie jedynie niepotrzebnym balastem. Chłonełam wszystkie informacje i czułam się, jakbym jedną nogą już była na szlaku.

Zapoznałam się z warunkami atmosferycznymi panującymi w Hiszpanii od sierpnia (bo zaplanowałam wyruszyć natychmiast, gdy zakończę pracę). I tutaj pojawił się pierwszy problem. Aby pokonać dystans około trzech i pół tysiąca kilometrów potrzebowałam około czterech miesięcy. Październik i listopad to miesiące już chłodne. Na tyle chłodne, że aby spać w namiocie, trzeba się bardzo ciepło ubrać. Każda dodatkowa rzecz waży i zajmuje miejsce w bagażu. Analizowałam to wszystko wiele razy. Musiałam liczyć się ze swoim wiekiem. Nie mogłabym pozwolić sobie na dzienne wydłużanie tras. Zresztą nie chodziło mi o to, żeby po prostu przejść szlak. Chciałam cieszyć się jego urokiem. Chciałam poobcować z naturą. Chciałam zatrzymać się w pięknych miejscach. Popłazować, poleniuchować, mieć frajdę z tego, co będę robiła. Tak więc zaczęłam rozważać trasę krótszą, zamykającą się w obrębie Hiszpanii. Przeanalizowałam szlaki i bezdyskusyjnie wybór padł na Del Norte. Trasa trudna, ale biegnąca wzdłuż Zatoki Biskajskiej, z plażami, klifami, czarującymi widokami i górami. Nie było chyba nic piękniejszego. Osiemset dwadzieścia osiem kilometrów przygody, trudu i wszystkiego, co niosło ze sobą *camino*...

Chodzenie na duże odległości miałam opanowane. Potrzebowałam jednak sprawdzić, jak będzie się szło z obciążeniem.

Wymyśliłam sobie, że pójdę w kierunku naszego morza. W Zielonej Górze mieszkała moja córka. W lutym obchodziła kolejne urodziny. Poszłam więc do niej z życzeniami.

Luty to nie jest dobry miesiąc na biwakowanie w namiocie, za-rezerwowałam więc trzy noclegi w pensjonatach i hotelu. Miałam do pokonania około stu dziesięciu kilometrów w ciągu czterech dni. Pogoda mi sprzyjała, było dość ciepło. Słońce często wyglądało zza chmur, jakby kontrolując mnie i jednocześnie wspierając

w przedsięwzięciu. Na tej trasie moje marzenie rozgorzało jeszcze bardziej. Polegiwanie dla odpoczynku w polu, pomiędzy drzewami, muśnięcia zimowego wietrzyku w ciszy i ciepłe złotych promieni były uczną dla duszy i ciała.

Dwudziestego piątego lutego stanęłam u drzwi Anetki z bukietem żółtych tulipanów (w ilości zgodnej z jej wiekiem), z uśmiechem na twarzy i ze świadomością, że nic i nikt nie powstrzyma mnie przed spełnieniem szalonego marzenia.

Sprawdziłam się. Kilka niegroźnych odcisków ozdobiło moje stopy, ale nic to nie znaczyło. Czytałam, że na *camino* trzeba liczyć się z tego rodzaju niedogodnościami. Jak dużymi – doświadczyłam dopiero tam.

Od maja zaczęłam naukę języka hiszpańskiego. Wiedziałam, że z moim skromnym niemieckim niewiele zdziałam, bo Hiszpanie nie operują tym językiem. Co najwyżej mógł mi się przydać w kontaktach z *peregrinos*, czyli pielgrzymami. Angielski jest mi zupełnie obcy. Skoro już miałam się czegoś uczyć, wybór padł na hiszpański. Zależało mi na tym, by poznać podstawy. Uczyłam się słówek i zwrotów, które mogły się przydać w restauracjach, sklepach, dzięki którym mogłam zapytać np. o drogę, miejsce noclegowe itp. Nawet nieźle mi to wychodziło. W telefonie zainstalowałam „tłumacza”. Miałam wielką nadzieję, że będzie pomocny. I był... Choć niejednokrotnie tłumaczył takie bzdury, że boki zrywałam ze śmiechu. Hiszpanie mówiący dialektem byli dla niego zupełną abstrakcją.

Czas gnał do przodu jak nieokiełznany rumak na rozległym stepie. Zima szybko uprzątnęła swoje mroźne ozdoby z lasów i już wiosna zatańczyła w zielonej kwiecistej sukni w ogrodzie. Po chwili nastało lato.

Pozostało mi jeszcze jedno bardzo ważne zadanie. Trzeba było zaopatrzyć się w odpowiedni sprzęt: plecak, namiot, materacyk i śpiwór. Istotne było, żeby zajmowały mało miejsca i niewiele ważyły. Ponadto musiałam kupić buty, które należało jeszcze przed wyprawą przetestować. Kiedy byłam już w posiadaniu namiotu, nie omieszkłam sprawdzić jego funkcjonalności. Tak zamieszkałam w ogrodzie... W pogodną noc wpatrywałam się przez otwarty właz w rozgwieżdżone niebo. Księżyc posyłał mi swoje zaczarowane spojrzenia i pisał we śnie bajkę o niesamowitej podróży. Burza rozbudziła mnie w środku nocy, grając deszczową sonatę, ale nawet kropla deszczu nie wpadła do środka mojego malutkiego domku. Był naprawdę malutki. Można w nim było tylko leżeć. Wsuwałam się do środka nogami i przemieszczałam w głąb, opierając na rękach. Plecak ułożony wzdłuż materaca zajmował dość pokaźną część wnętrza, ale nie ograniczał moich ruchów. Przy głowie miałam sporo miejsca na rozłożenie najpotrzebniejszych drobiazgów. Postawienie całej konstrukcji zajmowało około jedenastu minut. Złożenie trwało nieco dłużej i było trudniejsze, należało bowiem bardzo ściśle zwinąć każdą część, żeby zmieściła się do pokrowca. Było to bardzo ważne, aby później wszystko bez problemu zapakować do plecaka.

W międzyczasie do druku powędrował tomik mojej poezji. Zależało mi na tym, żeby ukazał się jeszcze przed wyjazdem. Wieczór autorski odbył się kilka dni przed wylotem do Hiszpanii. Zgromadzili się na nim moi serdeczni przyjaciele i najbliższa rodzina. Wśród gości znalazła się moja wychowawczyni z liceum ogólnokształcącego – pani Urszula Skoczylas. To polonistka, która nauczyła mnie czytać, analizować i rozumieć wiersze. Wiercie mi, że kiedy dowiedziałam się, że zaszczyci swoją

obecnością tę uroczystość, poczułam się jak przed maturą. Trema była niesamowita.

Okazało się, że pani Urszula także rozpoczęła emeryturę pielgrzymką do grobu św. Jakuba. Szła szlakiem francuskim. Zrobiło mi się cieplej na sercu. Wiedziałam, że w razie potrzeby będę mogła skorzystać z jej doświadczenia. I faktycznie: byliśmy w kontakcie i na szlaku pozyskiwałam od niej cenne wskazówki.

Wreszcie zapakowałam swój plecak. Bez jedzenia i wody ważył około jedenastu kilogramów.

Pożegnałam najbliższych. Nie wiedziałam tak do końca, co mnie czeka. Nigdy nie podróżowałam samolotem sama. Strefy bezcłowe na lotniskach były mi zupełnie obce. W Madrycie miałam przesiadkę, a tam port lotniczy jest ogromny jak miasto. Nie znałam zbytnio kraju, do którego podążałam. Mój niemiecki był słaby, hiszpański jeszcze słabszy.

Ale miałam marzenie, cel, który postawiłam sobie parę miesięcy temu. Była we mnie wiara we własne możliwości. I byli wokół ludzie, którzy wierzyli, że podołam, którzy ofiarowali mi swoje serca już na starcie.

Łukasz, mój syn, odwiózł mnie do Berlina.

– Elżuniu! – powiedział. – Dasz radę. Jesteś silna. Kocham cię i cieszę się, że jesteś moją mamą.

Zrobił mi przed lotniskiem fotkę z rozradowaną miną. Ale nikt nie wiedział, co dzieje się tak naprawdę w moim wnętrzu. Marzenie, które dotychczas trwało jedynie w myślach i sercu, stawało się rzeczywistością. To nieopisana zmiana. To jakby zanurzyć się w głębinach, nie wiedząc, co kryją i na ile są przyjazne. To konieczność zaufania swojej intuicji. To wyniesienie wartości pragnień nad wszystko, co miało się wydarzyć.

Dzień pierwszy

(ok. 14 km)

Samolot znizywszy lot, krążył to nad zatoką wypełnioną stojącymi w rzędach łodziami z opuszczonymi żaglami, to znów nad brzegiem szeroko rozlanej zielonobłękitnej wody oceanu albo nad budynkami miasta, w którym miałam rozpocząć swoją życiową przygodę. Pas, na którym wylądował, ciągnął się wzdłuż wcinającego się w głąb lądu akwenu. Patrząc przez okrągłe okienko, miałam wrażenie, że lądujemy na wodzie. Niewysoki budynek portu lotniczego opuściłam tuż po siedemnastej.

Ruszyłam za grupą podróżnych. Jedna z kobiet miała przypiętą do plecaka muszlę św. Jakuba. Serce zabiło mi mocniej.

– *Hola* – zagadnęłam bez zastanowienia.

– *Hola* – odpowiedziała z uśmiechem, patrząc przez ramię, ciemnowłosa, długonoga kobieta.

Szła pewnie, odważnie, jakby już tu była. Lekki krok i pewność siebie mówiły mi, że to moja przewodniczka na pierwsze kilometry. Idąc za ciosem, zaczęłam rozmowę-monolog, bo nie bardzo mnie rozumiała. Język polski okazał się zbyt skomplikowany. Dla chętnych nie ma jednak przeszkód. Przedstawienie się sobie nie stanowiło żadnego problemu. Dorothy uśmiechała się przez cały czas. Jej pogodna twarz napawała mnie ogromną ufnością. Okazało się, że podążamy w tym samym kierunku, czyli do Irun.

Moja towarzyszka, Dunka, mówiła po angielsku, ale trochę rozumiała niemiecki. Tak więc oba te języki przeplatały się w naszej konwersacji, tworząc misz-masz, który tylko my ogarnialiśmy. Prym jednak w naszym kontakcie wiodła gestykulacja. Jeśli ktoś obserwował nas z boku, to z pewnością miał niezły ubaw.

Dorothy przeszła *camino* szlakiem francuskim od Saint-Jean-Pied-de-Port w 2019 roku.

– A ja jestem w Hiszpanii pierwszy raz – powiedziałam, rozglądając się dookoła.

Dorothy przez chwilę myślała.

– To, co przeżyjesz, nigdy się nie powtórzy – mówiła do tłumacza na telefonie, uśmiechając się – pierwsze *camino* wyżłobi w twoim sercu piętno, które wcześniej czy później znów pociągnie cię na szlak znaczony muszlą i żółtą strzałką. Jednak każda następna wyprawa będzie uboższa o dreszczyk emocji, który towarzyszy ci teraz, za pierwszym razem, a który zadba o wyjątkowy klimat w całej wędrówce. – Te słowa wybrzmiały we mnie jak prorocstwo.

Słuchałam jej opowieści jak zaczarowana. Wszystko było dopiero przede mną. To, co sobie wyobrażałam, przygotowując się do wyprawy życia, okazało się nagle żywe, „oddychające” ciepłym powietrzem obcego kraju, wiodące na nieznane, ale jakże upragnione ścieżki *camino*.

Swoje pierwsze kroki skierowałam do kościoła, a Dorothy do *albergue*, gdzie miała zarezerwowany nocleg. To było pierwsze pożegnanie. Czułam się, jakbym traciła jedyną na świecie towarzyszkę. Odnosiłam wrażenie, jakbym znała ją od dawna. Ale czułam też, że potrzebuję wejść na *camino* bez wsparcia, bez kogoś, kto zdecyduje za mnie, kiedy i jak w mojej księdze życia ma się rozpocząć nowy rozdział pod tytułem *Camino de Santiago*.

Do kościoła Parish of Santa María del Juncal dotarłam bez problemu. Trwała msza. Cichutko, zakrywając twarz maseczką, przycupnęłam na brzegu ławki. Zdjęłam plecak i uklęknęłam. Miałam pustkę w głowie.

„Cóż powiedzieć mam Ci, Boże, skoro nie do końca jestem pewna swojej wiary?” – myśli tłukły się po zakamarkach głowy. „Kimkolwiek lub czymkolwiek jesteś, w Twoje ręce powierzam moją wędrówkę. Tobie oddaję główną intencję, którą tu przywiozłam w sercu, i proszę o spełnienie jej dla tych, których kocham i których ona dotyczy” – tu wyjawiałam intencję. „Święty Jakubie! – kontynuowałam modlitwę – Tobie powierzam siebie samą i wszystkie inne prośby. Otocz mnie swoją apostolską opieką, bym zdrowa i cała dotarła do Twojego grobu w Santiago de Compostela”.

Nagle poczułam, że oczy nie mieszczą już łez, które strumieniami popłynęły po policzkach. Wydmuchałam nos, zwracając na siebie uwagę wiernych.

„A co mi tam – pomyślałam – oczy mam w bardzo mokrym miejscu i nic na to nie poradzę. Muszę dać upust emocjom, bo spiętrzyły się ogromnie”.

Podniosłam głowę i ogarnęłam wzrokiem wnętrze świątyni. Obecnych było może kilkanaście osób. Dwie panie pokiwały do mnie głowami, a siedzący nieopodal pan pomachał ręką i zobaczyłam w jego oczach uśmiech. Zrobiło mi się bardzo miło. W tamtym momencie byłam chyba jedyną pielgrzymką i poczułam, jakby ktoś tu na mnie czekał.

Samo wnętrze kościoła było przyjemnie ciepłe. Ołtarz, na który składało się kilka scen biblijnych, był bogato złożony. Po bokach kilka mniejszych ołtarzy w takim samym stylu. Niewiele światła tworzyło nastrój odpowiedni do oddania się modlitwie.

Msza była podobna do naszej – polskiej. Szeptałam po cichu modlitwy w rodzimym języku, ale nie umiałam całkowicie się skupić. Wiedziałam, że muszę znaleźć miejsce na nocleg i to zaprzętało moją głowę.

Po mszy klęczałam jeszcze chwilę i zbierałam myśli. Nagle zdałam sobie sprawę, że muszę podbić u księdza paszport pielgrzyma (*credencial*). Chwyciłam plecak i pospieszyłam do wyjścia przy ołtarzu, w którym zniknął ksiądz. Kręcym korytarzem, idąc za głosami, dotarłam do zakrystii. Ksiądz powiedział do mnie coś po hiszpańsku, ale nic nie rozumiałam.

– *Inglesa?* – zapytał.

– *Polaca* – odpowiedziałam.

– Dzen doby – usłyszałam uradowana.

I na tym kończyła się znajomość języka polskiego mojego rozmówcy. Wskazał mi krzesło przy stoliku. Wyjął paszport z szuflady i, pytając o moje dane osobowe, wypełniał go. Podnosząc co jakiś czas wzrok na mnie i uśmiechając się, chciał się dowiedzieć, jaki odcinek *camino* planuję przebyć i czy idę pieszo.

– Pieszo, z namiotem, do samego Santiago de Compostela – dumnie zakomunikowałam łamanym hiszpańskim. Byłam przygotowana na niektóre pytania i już w domu uczyłam się odpowiedzi.

Ksiądz podniósł oczy i wyprostował się.

– *Buen camino, peregrina*¹ – powiedział, zacerpnąwszy wcześniej głęboko powietrza. Podał mi *credencial*, chwycił za dłoń i mocno uściśnął. – *Buena suerte*² – usłyszałam na odchodne.

¹ Hiszp. Dobrej drogi, pielgrzymko.

² Hiszp. Powodzenia.

Ktoś w cywilnym ubraniu odprowadził mnie do wyjścia na zewnątrz i pokazał strzałkę i muszlę na płycie chodnikowej. Były to znaki, które miały mi towarzyszyć przez następne kilkadziesiąt dni. Stałam z wlepionym w metalową płytkę wzrokiem, jakby ucząc się tego obrazka na pamięć.

„W drogę, kobieto!” – nakazałam sama sobie i ruszyłam we wskazanym kierunku.

Pokonałam kilkaset metrów. Za krzyżówką znalazłam już tylko znak muszli. Ruszyłam prosto, mijając stare kamienice. Skupiałam się bardzo, szukając znaków. Szłam pod górę, cały czas jednym chodnikiem i uznałam, że dopiero przy zmianie kierunku pojawi się kolejna muszla. Rozglądałam się, szukając jednocześnie miejsca na rozbicie namiotu. Nie było jednak ani żadnego godnego uwagi skwerku, ani kolejnej muszli. Moje *camino* się zbuntowało i zaczęło płatać mi figle. Postanowiłam poszukać trasy w Google. Wpisałam San Sebastian (bo tam miałam dojść z Irun), zaznaczyłam środek lokomocji „pieszo” i pozyskałam mapkę, która miała wyprowadzić mnie na szlak.

Ruszyłam spiesźnie, bo choć świeciło jeszcze słońko, to dzień chylił się ku końcowi. Byłam głodna. Wyjęłam z plecaka banana i baton.

„Muszę jeszcze zrobić zakupy na kolację” – pomyślałam. Chwilę wcześniej minęłam supermarket. „Trzeba wrócić, bo potem może już nie będzie okazji”. Zakupy były szybkie. Plecak zrobił się troszkę cięższy.

Trzymając się trasy z telefonu, ruszyłam. Czułam jakiś niepokój, brak pewności, czy idę dobrze. Bo miały być strzałki, muszle, a tymczasem... Wprawdzie wyznaczyłam dobre miejsce docelowe, ale im dalej szłam, tym bardziej zdawałam sobie sprawę, że nie takiego *camino* się spodziewałam.

Nagle odezwał się mój telefon. Kiedy usłyszałam w słuchawce Kamila (mojego syna), zrobiło mi się jakoś rażniej. Powiedzia-
łam, że trochę zbłądziłam, pogubiłam muszle i strzałki, ale mam
nawigację i idę w dobrym kierunku. Nie skomentował. Zapytał
tylko, czy nie trzeba poszukać mi jakiegoś noclegu przez internet.
Poprosił, żebym dała znać, gdy będę miała już miejsce na nocleg.
Wiedziałam, że nie jestem sama i to mnie bardzo wzmocniło.

Oddalałam się od miasta. Rzadko roztawione bloki, szeroka
ulica i coraz głośniejszy szum samochodów gdzieś w oddali były
niepokojące. Doszłam do ogromnego ronda, którego wewnątrz
było pagórkami ze skałkami i dość gęsto rosnącymi niewysokimi
drzewkami.

„Mogłabym tu rozstawić namiot – przebiegło mi przez myśl
– ale jak spać, gdy jeżdżą samochody... A nie daj Boże jakiś wy-
padek się zdarzy, to mnie tu zgniotą. Głupi pomysł”.

Szłam dalej. Nagle moim oczom ukazała się autostrada.

„O rany! Co to jest?” Chciało mi się wyć.

Przeszłam ponad siedem kilometrów i nagle zdałam sobie
sprawę, że muszę wrócić i to bardzo prędko. Byłam już zmęczona.
Szybkim marszem pokonałam około trzech kilometrów. Pojawiły
się bloki. Z jednego z nich wyszła kobieta z dwójką dzieci. Skiero-
wałam kroki w jej stronę, a ona, jakby wyczuwając moje intencje,
ruszyła ku mnie. Okazało się, że rozmawia po rosyjsku.

– Powinna pani wrócić do miasta – poradziła zatroskanym
głosem. – Może w schronisku znajdzie pani miejsce. Jedno jest
jakieś dwa kilometry stąd, na tej ulicy, którą pani tu doszła.

– Mijałam to schronisko, ale wyglądało na nieczynne – przy-
pomniałam sobie głośno. – Prawdę mówiąc, wołałabym znaleźć
trawnik pod namiot – zakomunikowałam mojej rozmówczyni.

– Hm... W mieście jest park, ale zamykają go na noc i może chodzić tam strażnik – zrozumiałam nie całkiem dokładnie.

Dzieci zniecierpliwione ciągały kobietę za ręce. Widziałam jej zakłopotanie.

– Dziękuję za pani troskę i dobre serce – powiedziałam, mieszając język rosyjski i polski. – Jakoś sobie poradzę.

Maluszki na odchodne pomachały mi rączkami.

– *Buen camino* – usłyszałam jeszcze.

„Dobrej drogi” – pomyślałam. Chciało mi się płakać. „Hej! Kobieto! Ogarnij się. Co się źle zaczyna, to się dobrze kończy” – wciskałam sobie do zatrwożonej głowy.

Pozytywne myślenie, szukanie dobrych stron w trudnych sytuacjach miałam opanowane. W życiu nie raz z tego korzystałam.

Zauważyłam, że nie ma już słońca. Ruszyłam w kierunku miasta, rozglądając się bacznie.

„Za tymi blokami jest jakaś pustka – zauważyłam nagle. – Może są tam jakieś ogródki”. Wypatrzyłam lukę pomiędzy ścianami. Przyspieszyłam radośnie kroku. Jakies trzydzieści metrów od bloków stał niewielki domek. Wyglądał na opuszczony. Ogród ciągnął się w jedną i drugą stronę na jakieś dwadzieścia, trzydzieści metrów. Ruszyłam w lewo. Ogrodzenie równoległe do bloków było zrobione z siatki, ale wzdłuż biegł też niewysoki murek. Przy końcu siatka była dziurawa.

„Przejsć czy nie?” – zastanawiałam się. „A jeśli jest tam jakiś pies?”

Popatrzyłam dalej w lewo. Murek ciągnął się wzdłuż aż do końca budynków, jak gdyby odgradzał ich okolice.

„Ojej! Jest łąka!” – krzyknęłam w duszy.

Za murkiem teren obniżał się, roztaczając łąkę z niewielką kępką niskich drzewek w centrum. Ciągnęła się jakieś dwieście metrów od zabudowań. Dalej była ulica i stacja paliw.

„O! I nawet będzie gdzie się umyć” – uradowałam się ogromnie.

Sforsowanie murku było łatwe. Trawa po kolana utrudniała nieco dojście do drogi. Na stacji paliw okazało się, że mając *credencial*, mogę wziąć prysznic. Woda była jednak chłodna, więc szybko się umyłam, grzecznie podziękowałam i wróciłam w okolicę drzewek. Było już ciemno. Jedynie poświata z ulicy i stojących dość wysoko domów czyniła noc nieco jaśniejszą.

Znów zadzwonił Kamil, zmartwiony, że się nie odzywam.

– Spokojnie! Mam miejscówkę na namiot – zakomunikowałam mu dumnie. – Muszę go tylko szybko rozłożyć, bo jest już dość ciemno.

– Super! A gdzie? Będiesz bezpieczna?

– Jestem blisko domów – uspokoiliłam go. – Byłam też się umyć na stacji paliw, tuż obok tego miejsca. Śpijcie spokojnie. Całuję was.

– To rozbijaj się. Jakby coś się działo, to dzwoń. Buziaki – pożegnał się ze mną.

Ktoś kręcił się na górnym balkonie w budynku naprzeciw.

„Może lepiej przejść za tę kępę drzew?” – przebiegło mi przez głowę. „Nie będę taka widoczna”. Popatrzyłam na leżący plecak. „No nie! Już dzisiaj nie będę go zakładała”.

Szybko rozstawiłam namiot. Włożyłam do niego plecak i sama wśliznęłam się do środka. Powiesiłam latarkę i wygrzebałam zakupioną bagietkę, ser żółty, jogurt i dwie brzoskwinie. „Ale uczta” – pomyślałam i zabrałam się do pałaszowania.

Później napisałam jeszcze krótkie streszczenie minionego dnia i posłałam na FB, na grupę „Z wiatrem i pod wiatr”. Po-

łożyłam się wygodnie i zamknęłam oczy. Daleko słychać było szum przejeżdżających z rzadka samochodów. Czułam zmęczenie, ale jednocześnie radość. Wszystko znikało gdzieś daleko. Usypiałam.

Nagle niedaleko coś się poruszyło. Trawa zaszeleściła, choć nie było słychać kroków. Znów nieco bliżej, troszkę głośniejsze... Nie miałam złudzeń – ktoś kręcił się niedaleko namiotu. Zamarłam, nasłuchując, co się dalej zdarzy. Cisza... Starłam się zapamiętać nad przyspieszonym oddechem.

„Ktoś mnie zauważył” – pomyślałam. „Może z tego balkonu, gdzie kręcił się człowiek, gdy się rozbijałam... i wezwał policję”.

Wiedziałam, że nie można rozbijać namiotu „na dziko”.

„Na pewno mnie znajdą. Czerwony tropik jest nie do przecenienia na otwartej przestrzeni” – czułam, jak robi mi się gorąco. „A jeśli to nie policja? Nie widzę żadnych świateł, a oni na pewno by świecili” – przeszedł mnie dreszcz.

Ponownie usłyszałam szelest. Po omacku odnalazłam nóż sprężynowy, który miał mi służyć do zupełnie innych celów. Odbezpieczyłam i przytrzymałam ostrze, aby po cichutku się rozłożył. Nasłuchiwałam uważnie, żeby, w razie czego, wiedzieć, skąd nastąpi atak. Szelest przesunął się to w jedną, to w drugą stronę, raz bliżej, raz dalej. Próbowałam określić odległość, ale nie było to proste, może kilkanaście metrów, choć czasem wydawało mi się, że to tuż obok.

Nie wiem, jak długo to trwało, ale dla mnie był to cały szmat czasu. Nagle szum zaczął się oddalać, aż całkiem zniknął.

„Co to było? Może zwinąć się i uciec?” – powoli zaczęłam się rozluźniać.

Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, jak bardzo byłam spięta. Szczęka aż mi drżała, dłoń z nożem się spociła, a paznokcie wbiły w ciało. Serce tłukło między żebrami, jakby moja klatka piersiowa była za ciasna. Położyłam się na brzuchu i ponownie zaczęłam nasłuchiwać. Cisza...

Dzień drugi

(ok. 28 km)

Otwierając oczy, czułam, że są obrzęknięte. Pogrzebałam w plecaku i wyjęłam kosmetyczkę, a z niej lustreczko – złożone złote serduszko średnicy mniej więcej zakrętki dżemowego słoiczka.

„Stroić się w nim nie da, ale mało waży” – uśmiechnęłam się sama do siebie.

Rozłożyłam owe cudenńko i zobaczyłam w nim... czarownicę. Włosy jak zwykle w „nieładzie artystycznym” były do przyjęcia, ale cała twarz obrzęknięta, z ustami jak po botoksie, już niekoniecznie. Z bliska wyglądałam makabrycznie. Wyszłam prędko z namiotu i spojrzałam raz jeszcze w odbicie na odległość wyciągniętej ręki.

„Troszkę lepiej. Mam nadzieję, że jak się umyję i trochę poruszam, to nie przestraszę nikogo”.

Namiot był obficie zroszony. Krople spływały po tropiku. Stałam boso na mokrej trawie. Było chłodno, ale nie zimno.

„Całkiem to przyjemne” – zauważyłam. „Pójdę w te drzewka, bo do toalety na stację paliw za daleko” – podjęłam decyzję.

Kilka kroków i znalazłam się przy niewielkim, skrytym w trawach i niewysokich zaroślach strumyku. „Aaaa! Już wiem, co mi wczoraj napędziło strachu! Zwierzęta przyszły do wodopoju” – wszystko nagle stało się takie zwyczajne. „Komu zależałoby, żeby uganiać się za jakąś Elką po łące. Przecież to niedorzeczne!”

Poczułam, jak stres odpuszcza. Zrobiło mi się lekko i radośnie na duszy.

„Skoro zwierzęta piły tę wodę, to ja mogę się w niej umyć”.

Zęby, na wszelki wypadek, wypłukałam wodą do picia. Słonko nie świeciło jeszcze na namiot, więc nie mogłam liczyć na „suszarkę”. Otarłam tropik ręcznikiem, złożyłam i zapakowałam do plecaka.

Ruszyłam w stronę, z której przyszłam. Planowałam, że pójde tak, jak mi pokaże nawigacja, a w San Sebastian zaczę się uczyć czytania muszli i strzałek, żeby więcej nie błędzić. Potrzebowałam jednak zjeść śniadanie i wypić kawę.

Pyszna kawa i ciepłe grzanki z dżemem lub croissant to ulubione śniadanie Hiszpanów. Pod małymi kafejkami spotykają się starsi i młodszy ludzie i w pogodnych nastrojach chwalą zaczynający się dzień. Przeszłam może kilometr. Przy alejce niewysokich drzewek, wzdłuż których ciągnął się rząd barwnie kwitnących krzaczków, znalazłam okrągły stolik, na który słonko kładło swoje ciepłe promienie. Kawa była pyszna. Zamiast grzanek zjadłam bagietkę z serkiem homogenizowanym i pomidorem. Na deser było jabłko.

Po posiłku postanowiłam poszukać w telefonie nawigacji ze Szlakiem św. Jakuba. Tuż obok zatrzymał się starszy pan. Kątem oka widziałam, że mnie obserwuje. W pewnym momencie podszedł i, wskazując muszlę zawieszoną na mojej szyi, powiedział coś po hiszpańsku. Podniosłam głowę i zobaczyłam przyjaźnie uśmiechniętą buzię. Szybko uruchomiłam translator. Przywitałam się po hiszpańsku.

– Idziesz do Santiago? – zapytał nieznajomy.

– Tak. Przyleciałam wczoraj, ale już na początku zgubiłam szlak – pożałowałam się. – Próbuję znaleźć mapę w telefonie.

– Powiem ci, gdzie iść. Mapa nie jest potrzebna – zaoferował swoją pomoc.

Wstałam i założyłam plecak. Mężczyzna zaczął mówić do telefonu. Niestety słownik przetłumaczył monolog zupełnie bez sensu. Wytrzeszczyłam oczy.

– Nie rozumiem – powiedziałam po hiszpańsku.

Ponownie wypowiedział potok słów do tłumacza. Zrozumiałam z tego, że trzeba iść w lewo, potem znów w lewo i prosto... Ale informacja, kiedy miało nastąpić to lewo, była już zbyt zagmatwana. Pan popatrzył na mnie, wzruszył ramionami, chwycił mnie za rękę i pociągnął za sobą. Trochę mnie to zaskoczyło, ale rozumiałam, że zamiast tracić czas na gadanie, woli mnie zaprowadzić. Ruszyliśmy w kierunku miasta.

– *Alemán?* – wpadłam na pomysł, że może facet zna niemiecki.

– *Ja* – usłyszałam w odpowiedzi.

Jego niemiecki był jeszcze uboższy niż mój, ale udało się nam nawiązać kontakt. Dowiedziałam się, że mój chwilowy przewodnik, kiedy był nieco młodszy, kilkakrotnie szedł *camino* na różnych szlakach. Bardzo lubi pielgrzymów i pomaga im, gdy tylko może. Z tej jego grzeczności właśnie korzystałam. Zatrzymaliśmy się na chwilę przy sklepie, gdzie zakupiłam prowiant na cały dzień. Zaprowadził mnie w takie miejsce, że nie mogłam już zabłądzić. Serdecznie podziękowałam po polsku i po hiszpańsku. Chwycił mnie za rękę, ścisnął je i, patrząc mi w oczy, powiedział:

– *Buen camino.*

Obróciłam się jeszcze dwa razy, ale mężczyzna odchodził swobodnie, jakby dając mi do zrozumienia: „Musisz sama zatroszczyć się teraz o siebie, bo to twoje *camino*”.

Co to był za szlak? Wdrapywałam się do góry i, kiedy wydawało się, że to koniec wspinaczki, wyrastały następne wzniesienia. W pewnym momencie obróciłam się i dech mi zaparło. Zobaczyłam to, co z samolotu tuż przed lądowaniem. Idąc, nie myślałam, że jestem aż tak wysoko. Z jednej strony było miasto z zatoczką dla łodzi, z drugiej ocean z żagłówkami o białych „skrzydłach”. To było takie piękne. Wchodziłam wciąż wyżej i wyżej... I widok był coraz piękniejszy. Pomyślałam, że św. Jakub nie pozwolił mi iść szosami, bo nie miałam stracić takiego widowiska.

Pierwszy dłuższy przystanek zrobiłam w połowie podejścia na szczyt Jaizkibel (525 m n.p.m.) w paśmie górskim o tej samej nazwie. Znajdowała się tam (niestety wówczas zamknięta) kaplica Hermitage of Guadalupe (w dosłownym tłumaczeniu Pustelnia Guadalupe). Duży taras widokowy okalał niewysoki murek. Poniżej rozciągała się piękna zatoka i lekko zamglone Pireneje. W takiej scenerii odpoczynek był wyjątkowy. Zjadłam owoce i zmieniłam koszulkę. Poprzednia była mokra od potu. Przepłukałam ją w wodzie ze studzienki i zawiesiłam na plecaku. Wiedziałam, że kiedy dotrę na szczyt, trzeba będzie ponownie się przebrać.

Podążając dalej, delektowałam się nie tylko widokami. Cieszyłam się też możliwością podjadania jeżyn. Nigdy nie widziałam tak rozległych pól tych krzewów, z uginającymi się pod ciężarem owoców gałęziami (w większości jeszcze czerwonych – niedojrzałych).

Ze szczytu Jaizkibel widoki były obłędne. Wciągałam głęboko cudowne powietrze niesione morską bryzą, jakbym chciała wzbogacić doznania wizualne jego kryształową czystością. Kiedy wejdziesz się wysoko, trzeba w końcu zejść. Schodzenie zawsze jest trudniejsze, bo coś się kończy, coś przemija. Musiałam pozostawić piękno tej okolicy za sobą, choć zdawałam sobie sprawę, że nie jest

to ostatni taki widok w mojej wędrówce. W tym dniu do przemijania było mi daleko, ale schodzenie z tej stromizny było nie lada wyczynem. Doceniłam po tak długim czasie kijki, bez których w wielu miejscach nie dałoby się bezpiecznie zejść.

Z San Juan do San Pedro trzeba było przepłynąć się barką.

Łodzie uczezione przy pomostach, zakotwiczone żaglówki z nagimi masztami i niewielki ruch przy nabrzeżu tworzyły klimat spokojnych miasteczek po obu stronach zatoki. Ponad domami ciągnącymi się wzdłuż brzegu piętrzyły się wzniesienia. Z jednych zeszłam, a na kolejne prowadziły mnie żółte strzałki. Podejście było teraz znacznie łagodniejsze, ale po kilkunastu kilometrach w nogach wcale nie było łatwiej je pokonać.

Nagrodą była piękna plaża w San Sebastian. Szeroka, piaszczysta, z czystą, ciepłą wodą. Nogi same tupały w kierunku niewielkich fal. Jednak było już późno, bo zachwyty na trasie pochłonęły zbyt wiele czasu.

Bardzo chciałam spać dziś w schronisku. Poprzedniego wieczoru i rano moja higiena pozostawiła wiele do życzenia, więc miałam nadzieję, że tym razem poszaleję.

Niestety. Mimo pomocy miłego pana z plaży, którego poprosiłam o wskazanie drogi, nie znalazłam nigdzie miejsca. Nie było też *albergue* z ogrodem lub choćby małym trawnikiem, na którym mogłabym rozbić namiot i skorzystać z łazienki i kuchni. W jednym ze schronisk spotkałam Dorothy, z którą poprzedniego dnia zaczęłyśmy *camino*. Radość była tak wielka, jakbyśmy znały się od lat. Pomyślałam wtedy, że o tym piszą caminowicze... O tych krótkich spotkaniach, czasem przypadkowych, a będących nieraz początkiem pięknych przyjaźni. Dorothy była nawet skłonna odstąpić mi kawałek swojego łóżka, ale pan za biurkiem, który tu dowodził, był nieubłagany.

Tak oto wróciłam na trasę znaczoną muszlą. Słonko skryło się za horyzontem i zrobiła się szarówka. Ruszyłam więc dalej szlakiem, bo w mieście namiotu rozbić nie mogłam. Dowiedziałam się od przechodniów, że po drodze znajdę pole namiotowe. Tym sposobem przemierzyłam kilka kilometrów kolejnego etapu. Muszę przyznać, że byłam obolała i zmęczona, ale radziłam sobie z tymi niedogodnościami.

Namiot ponownie rozbijałam po ciemku. No może nie całkiem, bo były tam latarnie. Wzięłam prysznic, umyłam głowę. Nie prałam, bo w „pogodynce” przeczytałam o nadchodzących opadach.

Deszcz stukał nocą o tropik. Grał niekończącą się deszczową uwerturę mojego *camino*. Uwielbiam taką muzykę. W domu często w czasie deszczu wychodzę na poddasze i słucham, jak krople spadają na dach. To niesamowicie mnie wycisza i uspokaja.

Jak bogatą miałam teraz duszę... Spełniałam marzenie. Natura była ze mną za pan brat, św. Jakub przybliżał Boga, który ostatnio gdzieś mi umykał. Czegóż więcej chcieć od życia?

Była jeszcze wielka intencja, z którą podążałam, i kilka mniejszych, i cała rzesza tych, którzy wspierali mnie i dodawali otuchy. To wszystko stanowiło sens tej trudnej wędrówki.

I przyszedł spokój i sen...